

Wyjątkowy bieg w wyjątkowych górach. Rozmowa z Gabrielą i Krzysztofem Gajdzińskimi

Macie łemkowskie korzenie?

Gabriela Gajdzińska: Nie. Ja pochodzę z Krosna.

Krzysztof Gajdziński: Ja z pogranicza polsko-litewskiego.

Czy organizując bieg Łemkowyna Ultra Trail promujecie kulturę łemkowską?

K.G.: Kontekst jest oczywisty. Łemkowszczyzna idealnie pokrywa się z Beskidem Niskim, są to tereny niegdyś zamieszkałe przez Łemków, częściowo również i dzisiaj. Ta inspiracja dodała smaku imprezie sportowej. To też fajne góry. Gdy przeprowadziliśmy się do Krosna, na treningach zacząłem przemierzać właśnie te tereny, zobaczyłem, że tu nie ma żadnego biegu ultra, a miejsce na ich organizację jest wyśmienite.



Maraton Wigry – prawie zawsze na bezdrożach. Fot. Piotr Dymus

G.G.: Innej nazwy nie rozważaliśmy, zbieżność z Łemkami skojarzyła nam się od razu. Pokazujemy łemkowskie elementy, piszemy o tym w przewodniku do biegu.

K.G.: Wielu ludzi z Polski nie ma pojęcia, że tu jest Łemkowszczyzna, którą zamieszkiwali Łemkowie. W czasie biegu dowiadują się o tym, na trasie widzą cerkwie, kapliczki, cmentarze, wioski, które niegdyś tętniły życiem, a dzisiaj są w nich tylko fundamenty domów czy piwnice. To musi intrygować.

Niestety spotkaliśmy się z zarzutem, że jesteśmy ukrytą opcją ukraińską i finansuje nas Prawy Sektor – takie słowa powiedział jeden z urzędników. Nie jest to głos odosobniony, ludzie za plecami mówią zresztą różne rzeczy. To bzdura, do głowy by nam nie przyszło, że możemy w jakiś ukryty sposób podgrzewać kwestie narodowościowe, mówić o akcji „Wisła” czy mieć jakieś zarzuty wobec Łemków. Nikt z naszej ekipy nie ma korzeni łemkowskich czy ukraińskich.

Przez nazwę imprezy nie da się uciec od kontekstu. Zaskakujące jest natomiast to, że ludzie tak słabo znają te tereny.

G.G.: Uczestnicy bardzo często myślą Bieszczady z Beskidem Niskim, dla wielu z nich jest to jedno

i to samo. Staramy się ich edukować, pokazywać Beskid Niski w pozytywnym świetle, jako wciąż jeszcze dziki i nie do końca odkryty kawałek Polski.

Jesienią organizujecie trzecią Łemkowynę, jak wypadły dwie pierwsze edycje?



W lesie i wokół jeziora, Maraton Wigry. Fot. Piotr Dymus

K.G.: Za pierwszym razem była wielka niewiadoma, czy pomysł się powiedzie. Zapisy na imprezę trzeba zacząć odpowiednio wcześnie, gdy jeszcze nie wiadomo, czy znajdzie się jakiś sponsor. Ostatecznie wszystko można podsumować dopiero po zawodach. Po pierwszych zawodach emocje podpowiadały nam, że warto zrobić je jeszcze raz, reakcje ludzi były bowiem bardzo dobre. Koordynatorzy i wolontariusze mieli podobne odczucia, natomiast stan naszego konta nie był już tak optymistyczny. Oczywiście mogliśmy działać w granicach bezpiecznego, niższego budżetu, ale wtedy nie dałoby się zrobić dobrej imprezy.

Potraktowaliśmy to jednak jako inwestycję, wierzyliśmy, że kolejnym razem finanse będą w lepszym stanie. Tak też się stało. W drugim roku było więcej ludzi i sponsorów, zaś my nauczyliśmy się niektóre rzeczy robić lepiej i za mniejsze pieniądze.

Skąd w ogóle pomysł na organizowanie biegów?

G.G.: Obydwoje pracowaliśmy na etatach nie związanych z bieganiem, ja w marketingu, Krzysiek w sprzedaży. W pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę z tego, że jeśli chcemy dobrze organizować zawody, nie da się tego robić po godzinach pracy. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę, zwolniliśmy się i staramy się organizować biegi solidnie. Dodatkowo poza biegami robimy imprezy firmowe, gdyż same biegi nie są w stanie zapewnić nam utrzymania. Teraz można powiedzieć – biegi to nasza praca.



Rzeka Biała, okolice Banicy, Łemkowyna, 2015 r. Fot. Piotr Dymus
Wyjątkowy bieg w wyjątkowych górach.
Rozmowa z Gabrielą i Krzysztofem
Gajdzińskimi

Czy sami biegaliście?

K.G.: Pierwszy Maraton Wigry powstał m.in. z tego powodu, że sam biegałem, znałem piękne trasy. Pomyślałem, że świetnie byłoby pokazać je innym.

Na studiach trenowałem w AZS, ale nie powiedziałbym, że reprezentowałem poziom zawodniczy. Startowałem w kilku biegach ultra w Polsce i za granicą. Bieganie nadal jest obecne w moim życiu – zresztą, aby dobrze organizować bieg, trzeba samemu być również po drugiej stronie. Rocznie jeżdżę na dwa zagraniczne biegi, m.in. po to żeby czegoś się nauczyć, podpatrzeć fajne rzeczy, ale i dowiedzieć się, jak czegoś nie robić.

Oczywiście istnieją takie biegi, które organizowane są przez ludzi bez doświadczenia biegowego, ale gdy zapytać się uczestników, które biegi są fajne, wymienią takie, których organizatorzy sami biegają lub mają dużo wspólnego z bieganiem.



Piękne trasy do biegania to urok Maratonu Wigry. Fot. Piotr Dymus

Wasze biegi odbywają się zawsze w przyrodzie, to nie są biegi uliczne, asfaltowe. Beskid Niski, Suwalszczyzna, Pogórze Dynowsko-Strzyżowskie. Skąd taki wybór?

G.G.: Z zamiłowania do przyrody. Zawsze mnie ciągnęło w stronę przyrody, u mnie w domu było dużo zwierząt, koty, psy, kanarki. W przyrodzie dobrze się czułam i czuję. Ważne było też harcerstwo, jeździłam na obozy, które odbywały się w przyrodzie. Krzysiek biegał też głównie w terenie, raz w życiu spróbował maratonu ulicznego...

K.G.: I go nie ukończyłem. Bolało trochę kolano, ale to nie było decydujące. Gdyby ten maraton odbywał się w terenie, ukończyłbym go. Bieganie po asfalcie dla mnie jest psychicznie nie do zniesienia. Mam co prawda za sobą półmaraton uliczny, ale jest on dla mnie maksymalnym podczas którego mam jako taką przyjemność z takiego biegu.

Pojawiła się u nas co prawda myśl o organizowaniu zawodów ulicznych, co choćby w kontekście finansowym miałoby pewnie więcej sensu, ale chcieliśmy robić przede wszystkim to co sami lubimy, a lubimy bieganie terenowe.

Zanim zacząłem biegać, to sporo jeździłem na rowerze, wspinałem się, chodziłem na rajdy. Planując trasy, staramy się unikać asfaltu. Na Łemkowynie nie mamy na to dużego wpływu, bo wyznaczona jest po linii czerwonego szlaku beskidzkiego, więc są tam odcinki asfaltowe. Ale na Maratonie Wigry skróciliśmy przeloty asfaltem do maksimum, z początkowych 10 km do 4.

Co jest niezwykłego w bieganiu po górach i w terenie?

K.G.: Widoki, zapachy, kolory, możliwość spotkania dzikich zwierząt, generalnie doświadczenie przyrody. Człowiek w takim otoczeniu czuje się zupełnie inaczej, lepiej też znosi wysiłek.



Najdłuższa trasa to też dużo błota, Łemkowyna, 2015 r. Fot. Piotr Dymus

G.G.: Ważne jest też zróżnicowanie – błoto, śnieg, słońce.

K.G.: Raz jest górka, raz strumień, przez który nie zawsze przechodzi mostek itp. Tego na asfalcie nie ma.

Jeszcze zaledwie kilka lat temu takich biegów w zasadzie nie było. Skąd popularność biegów w ogóle, a biegów górskich w szczególności?

K.G.: Ważne są tutaj dwie kwestie. Pierwsza – ludzie zdali sobie sprawę, że w górach w ogóle da się biegać. Teraz jest to może oczywiste, ale gdy ja zaczynałem startować w biegach długich po górach, jak choćby w Biegu Rzeźnika, w świadomości była bariera dotycząca biegania 70–80 km po górach. A podczas takiego biegu można więcej zobaczyć, być bardziej niezależnym i wpisuje się on w filozofię minimalistyczną – potrzeba trochę wody czy jedzenia. Druga – może mniej pozytywna, to skutek amerykańskiej filozofii przełamywania barier i stawiania sobie nowych celów. Są ludzie, którzy po przebiegnięciu maratonu chcą nowych wyzwań, szukają czegoś nowego – trudniejszego. Oni zwykle biegają w górach nie dlatego, że chcą w nich biegać, ale dlatego, że chcą sobie coś udowodnić. Chcą biec na coraz dłuższe dystanse, niewiele obchodzi ich kontekst, gdzie jadą, w jakich górach są zawody. Dla nich liczy się przede wszystkim kolejna bariera do złamania.

Widzę też pewną zależność – jeśli ludzie traktują bieganie po górach wyłącznie jako miejsce do pokonywania kolejnych barier, śrubowania swoich osiągnięć, w zupełnym oderwaniu od miejsca, w którym są – wówczas wzrasta poziom śmiecenia zawodników. Na Maratonie Wigry praktycznie nie ma śmieci, zdarzają się tylko pojedyncze. Ale tam przyjeżdżają ludzie, którzy wiedzą, po co tam są – przede wszystkim dla wspaniałej przyrodniczej trasy, przyjeżdżają też smacznie zjeść, wypocząć, spotkać przyjaciół.

Co jest problemem, jeśli chodzi o biegaczy?

G.G.: Ludzie nie zdają sobie sprawy, ile trzeba włożyć pracy w organizację takiej imprezy, często też nie są świadomi kosztów. Patrzą na listę startową, widzą 400 uczestników, mnożą ich liczbę przez wpisowe, które wynosi na przykład 150 zł, i wyciągają pochopne wnioski co do rzekomego zarabiania kroci przez organizatorów. Nie zauważają, że na zawodach jest GOPR, toalety, prysznice i mnóstwo innych rzeczy, które nie są za darmo.

K.G.: Problemem jest też wyposażenie obowiązkowe. Ze względów bezpieczeństwa wymagamy, aby

na długą trasę mieć kurtkę z kapturem, co nie wszyscy akceptują, a ze względów ekologicznych posiadać własne wielorazowego użytku kubki, aby nie produkować śmieci. Na Łemkowynie obecnie nie ma plastikowych kubeczków na punktach żywieniowych. Po pierwszej edycji, gdzie jeszcze je mieliśmy, stwierdziliśmy, że nie możemy tego rozwiązania stosować – to po prostu za dużo śmieci. Na Zachodzie taki trend staje się już modny, a w Polsce dopiero się rodzi, na szczęście większość zawodników to akceptuje. Kwestia kurtek z kapturem i folii NRC wypłynęła już podczas pierwszej edycji ŁUT. Po tym jak pierwszej nocy wielu ludzi zmokło a drugiej doświadczyło 5 stopniowego mrozu, na mecie mówili, że kurtka z kapturem bardzo im pomogła, mimo że początkowo mieli spore zastrzeżenia, co do obowiązku jej zabrania.

Czy myśleliście o czymś takim, aby wśród organizatorów stworzyć coś na kształt karty etycznej, która odnosiłaby się do kwestii środowiskowych?

G.G.: Ostatnio magazyn Ultra przeprowadził akcję „Jestem biegaczem, nie śmieczę!”, inspirując tym samym osoby z tego środowiska. Na Facebooku jest taka grupa Ultrarunning Polska, ludzie z tego grona sami biegają, przy okazji zbierają śmieci, robią ich zdjęcia, które zamieszczają w sieci, pokazują problem. Po biegu w Szczawnicy rozgorzała dyskusja między biegaczami po tym jak do sieci trafiły zdjęcia zebranych śmieci wyrzuconych w czasie zawodów, niektórzy to usprawiedliwiali, pisząc że śmieci można przypadkowo zgubić, inni kategorycznie podkreślali, że skoro ktoś zabiera pełny żel na zawody, to bez problemu powinien opakowanie po nim dźwigać ze sobą.

Biegacze coraz bardziej są świadomi, że biegając po górach należy szanować przyrodę, zostawić ją w takim samym stanie lub nawet lepszym niż się do niej weszło. Pojawiają się nawet pomysły, w jaki sposób radzić sobie ze śmieciami, np. oznaczać wyposażenie na trasie zawodników ich numerami, choć to rozwiązanie z perspektywy organizatora jest dosyć trudne.

K.G.: Co więcej, nie daje gwarancji, że zadziała, wszak biegacze mogą mieć dostarczone żele, jedzenie itp. tuż przed biegiem, więc sprawdzanie na starcie i na mecie nie załatwi problemu. To oczywiście jest możliwe, ale na razie brakuje nam ludzi do zrealizowania rzeczy, które są bezwzględnie konieczne.

Co z kwestią limitów uczestników na zawodach, pewnie istnieje granica, po przekroczeniu której liczba startujących jest niekomfortowa dla środowiska, organizatorów, a i samych biegaczy. Czy są wypracowane jakieś standardy?

K.G.: W przypadku biegów rozgrywanych w na terenie parków narodowych sprawa jest szczególna. Parki narodowe udzielenie swojej zgody na przeprowadzenie biegu przez ich tereny mogą uwarunkować konkretnymi wymaganiami, także ilościowymi – my na przykład umówiliśmy się z Magurskim Parkiem Narodowym na 500 osób na obu trasach, które przez park przebiegają (ŁUT 150 i ŁUT 80). Podobnie jest w przypadku Wigierskiego Parku Narodowego i Maratonu Wigry.

Szlaki turystyczne w Polsce mają określoną maksymalną przepustowość, chodzi o to, że na danym odcinku szlaku w tym samym czasie nie może przebywać więcej niż pewna liczba osób, w przypadku czerwonego szlaku na terenie Magurskiego PN jest to 350 osób. Na trasę Łemkowyny możemy puścić 500 osób z tego powodu, że zawodnicy przez Magurski PN będą przebiegać przez kilka godzin, jedni wcześniej, inni później.

G.G.: Ponadto w parku narodowym zawody nie mogą odbywać się nocą, jedynie za dnia.

K.G.: Limity w Polsce nie są jeszcze jakimś problemem. U nas zaledwie kilka imprez cieszy się taką popularnością, że trzeba na nie zapisywać się szybko lub mieć szczęście w losowaniu pakietu startowego.

Decydujący zawsze będzie jednak rozsądek organizatorów. Nam nie zależy na śrubowaniu liczby uczestników. Naszym wolontariuszom na odprawie zawsze mówię, aby pracowali w taki sposób, żeby każdy biegacz poczuł, że to jest jego niezwykła przygoda, jego wyjątkowy dzień i czuł się wyjątkowo. Przy 5 tysiącach ludzi na trasie takie doświadczenie byłoby nierealne, przynajmniej przy infrastrukturze i zapleczu, którym my dysponujemy. Łemkowyna z obecnymi limitami, może odrobinę większymi, to raczej maksimum, które ma sens, aby osiągnąć sukces w każdym wymiarze.

Cieszy wasze trzeźwe podejście do spraw środowiskowych. A jakie są wasze inspiracje?

G.G.: Nie chcemy, aby Łemkowyna Ultra Trail stała się wielką imprezą masową, na którą przyjeżdża kilka tysięcy ludzi i robi się z niej wielki piknik rodzinny, rozstawiane są gigantyczne dmuchane zjeżdżalnie, a połowa ludzi nawet nie wie, co to za impreza.



Ukochany Beskid Niski, Łemkowyna, 2015 r. Fot. Julita Chudko

Inspirują mnie ludzie, którzy sami są uczestnikami zawodów. Na Maraton Wigry ludzie przyjeżdżają dla jego wyjątkowej atmosfery, chcą spotkać się przy ognisku, poczuć pozytywny klimat niszowego biegu. Widać też wśród tych ludzi miłość do przyrody. Sylwia, wielka fanka Łemkowyny, napisała na naszym Facebooku, że zmierzając na Bieg Rzeźnika, gdy przejeżdżała przez Beskid Niski, aż się popłakała ze wzruszenia, jak piękna jest ta kraina.

Dla nas najważniejsze jest, aby nasze biegi miały niepowtarzalny klimat, a ludzie właśnie dlatego chcieli na nie przyjeżdżać.

Czyli McDonald's nie jest w orbicie waszych zainteresowań jako sponsor? Natomiast pożądana jest współpraca z lokalnymi firmami, np. produkującymi napoje...

G.G.: McDonald's zdecydowanie nie, zaś z lokalnymi tak, jeśli są chętne do współpracy.

K.G.: A z tym bywa różnie, lokalne firmy dysponują znacznie mniejszymi budżetami, a wówczas trudniej ich przekonać, że wsparcie na określonym poziomie ma sens. Często traktują sponsoring jako daninę na rzecz imprezy, za którą nie dostają nic w zamian. A przecież przy odrobinie pomysłu można działania sponsorskie przekuć w naprawdę dobrą promocję marki. Jako, że mieliśmy doświadczenia marketingowe, staramy się pracować nad tym, aby przedsiębiorcy uwierzyli, że kooperacja ma sens i przynosi korzyści obu stronom.



Czy organizowanie zawodów to trochę wasz pomysł na promocję regionu?

G.G.: Moje uczucia są ambiwalentne, z jednej strony bym chciała, żeby przejeżdżało tu wielu ludzi i odkryło jego piękno, zaś z drugiej strony pragnę, by pozostał nieodkryty, bo w tym tkwi właśnie jego niezwykłość. Nie chciałabym, aby to były drugie Bieszczady, żeby z Dukli zrobiła się druga Cisna. To niezwykle, że jadąc w Beskid Niski przez cały dzień można spotkać jednego, dwóch turystów. Niemniej jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że Łemkowyna promuje region i dzięki temu staje się on bardziej popularny. Wierzymy, że w pozytywnym znaczeniu.

Dziękuję za rozmowę.

Krosno, 21 czerwca 2016 r.

Gabriela Gajdzińska - krośnianka, absolwentka rosjoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po 7 latach spędzonych w Krakowie wróciła do Krosna. Pracowała w turystyce i marketingu. Nieustannie marzy o podróżach, zwiedziła m.in. Ukrainę, Gruzję, Czeczenię, Dagestan, Maroko, Turcję. Miłośniczka zwierząt, zakochana w swoim 6-letnim siberian husky, który towarzyszy jej niemal wszędzie.

Krzysztof Gajdziński - biegając zwiedza najpiękniejsze zakątki świata, by w przerwach organizować zawody, w których sam chciałby pobiec. Zawodowo właściciel firmy zajmującej się organizacją eventów oraz działaniami promocyjnymi. Niestrudzenie szuka nowych form aktywności dającej mu kontakt z przyrodą - od wspinaczki, przez rowerową jazdę na orientację, po pływanie kajakiem.